

← ← ← ← ←

DYSKUSJA

⇒ ⇒ ⇒ ⇒ ⇒

Ekologia popularna sposobem nienaukowym przedstawiona*

„Moja babka często opowiadała, że żył kiedyś mędrzec, który przez trzy dni i trzy noce leżał krzyżem na ziemi i rozmyślał, co utrzymuje ludzi przy życiu, aż wreszcie przyszło mu do głowy, że jedzenie”.

Izaak B. Singer – „Dwór”

Tłum. J. Wyrzykowska

„Kto wie po co lecą żurawie, dlaczego rodzą się dzieci, po co są gwiazdy na niebie”.

Antoni Czechow – „Trzy siostry”

Tłum. Artur Sandauer

„Humor uśmiecha się do rzeczywistości, gdy ta mu mówi swoje gorzkie prawdy, a nawet gdy go biczuje i gnębi, dowcip pozna ją taką, jakiej sama siebie nie zna i góruje nad nią, oderwawszy się od ziemi i przyglądając się jej z wysoka”.

Stefan Szuman – „O dowcipie i humorze”

1. Przedmiot i osoby dramatu

Nikt, poza badaczem kultury ludowej i archeologiem, nie ma więcej możliwości niż przyrodnik do bezpośrednich kontaktów z mieszkańcami wsi i małych miasteczek. Wprawdzie dziś rzadko który geobotanik, faunista, ekolog, geograf dzieli stół i łóżko z mieszkańcami odległych domostw, ciągle jednak przy okazji swoich prac spotyka się z rolnikami, hodowcami, leśnikami, rybakami. Kontakty te są zwykle obustronnie interesujące, żywe, miłe, osładzają samotność. Po pewnym czasie mogą się nawet przerodzić w zażyłość lub przyjaźń. Odnawiane po latach, zwykle są okazją do miłych pogawędek. Są one także źródłem niezliczonych anegdot – które jak doświadczyłem – obie strony opowiadają w swoich środowiskach, nierzadko okraszając je szczególnym dowcipem i humorem.

*Pamiętnik z przymusowego polegiwania w łóżku (lato 1996), uzupełniony o wspomnienia i zapiski.

Zgłaszam więc pomysł konkursu na anegdotę z badań terenowych i jej systematyczną publikację na łamach „Wiadomości Ekologicznych”. Zanim to się stanie, wprowadzę w materię sprawy kilkoma przykładami, zwracając na wstępie uwagę, że chodzi o osobliwe zjawisko kulturowe występujące w okolicach nauki.

Poświęcę cały esej temu zagadnieniu, nie po to jednak, aby bawić lub denerwować moich kolegów, ani też by konkurować z oficjalnymi zbiorami anegdot i kolumnami wielu czasopism, które to kolumny zwykle opatrzone są tytułem „Uczeni w anegdocie”. Mój cel ukryty jest pod zawiłym tytułem eseju.

2. Zwięzłe przedstawienie pięciu anegdot zamiast jednego poważnego dramatu

Jak to dziś w zwyczaju, przedstawię historyjki i anegdoty, zarówno krajowe, jak i zagraniczne. Będzie ich razem pięć (*I–V*) i dodatkowo dwie (*VI* i *VII*) pod koniec.

(*I*) Pracownicy niemieckiego instytutu fitosocjologii stosowanej ubrani w mundury żołnierzy Wehrmachtu poszli na front i stamtąd planowo przesyłali w listach do swego szefa, prof. R. Tüxena, obserwacje naukowe czynione w lasach, na bagnach, polach i łąkach całej podbitej Europy. Do obserwacji dołączali opis wielu zabawnych zdarzeń, dowcipne rysunki ilustrujące rolę botanika-żołnierza w zetknięciu z rolnikami, leśnikami w tych szczególnych warunkach. Wśród opisywanych zdarzeń i rozmów nierzadko przytoczone są przewrotne kpiny wobec nieproszonych gości. Nie twierdzę, że te dodatkowe zajęcia uchroniły ich od niegodnych czynów, ale na pewno pozwoliły im przetrwać niejedną ciężką dzień wojny. Wyniki wcale bogatych obserwacji naukowych i życiowych były opracowywane i powielane w instytucie, i jako listy okrężne (*Rundbriefe*) przesyłane odwrotną pocztą polową do wszystkich współpracowników na froncie. Do dziś kopie tych listów można studiować, śmiejąc się i trwożąc równocześnie. Przechowuje się je na Uniwersytecie w Hannoverze, w wydzielonym archiwum po nieżyjącym już od 16 lat uczonym.

(*II*) Wysoka ranga nauki w społeczeństwie niemieckim wcale jednak nie chroni niemieckiego uczonego, ani jego zagranicznego kolegi, przed przykrymi, a jednocześnie zabawnymi przygodami.

Otóż w tym samym instytucie, już w kilka lat po wojnie, podczas jednego z moich pobytów, ten sam gospodarz zachęcił botaniczkę przybyłą z Anglii na staż z kartografii fitosocjologicznej, aby każdą chwilę poświęcała na zapoznanie się ze składem i strukturą zbiorowisk łąk i pastwisk w dolinie Wezery. Przygotowania te miały poprzedzić wykonanie mapy roślinności. Więc owa córka Albionu, nie zniechęcona ciągłym deszczem, przemierzała je, chodząc pod parasolem kilka dni z rzędu tam i z powrotem. Zdziwieni tym miejscowi rolnicy, choć przyzwyczajeni do

dziwactw uczonych, nie mogąc się z nią wprzódy dogadać, uznali, że jest ona uciekinierką z pobliskiego zakładu dla umysłowo chorych. A ponieważ w tym czasie uciekła z zakładu jakaś pensjonariuszka, to uzupełniono skład osobowy ową Angielką na okres Świąt Wielkanocnych. Po świętach rzecz wyszła na jaw, a instytut odzyskał swoją stażystkę.

Inny stażysta, pobratymiec Dobrego Wojaka Szwejka, nazajutrz przy wspólnej wieczery u gospodarza instytutu, poznawszy ową córę Albionu, zdziwił się, że nie stało się to wcześniej. W jego ojczyźnie nikt by tak długo nie zwlekał z oddaniem dziwaka pod właściwą opiekę.

(III) Oto doświadczenie mojego kolegi, który przez wiele lat odwiedzał planowo na rowerze niezliczone wsie i miasteczka w Polsce. Na wieżach kościelnych i strychach starych budynków zbierał on wypluwki ptaków drapieżnych, aby na podstawie ich zawartości gromadzić informację o rozmieszczeniu drobnych ssaków.

Z niezliczonymi rozmówcami prowadził taki oto dialog:

– *A na co to Pan zbiera?*

– *Do muzeum.*

Po chwili z dociekliwością:

– *A po co to Pan zbiera?*

– *Na lekarstwo.*

Tak brzmiała niecierpliwa odpowiedź mojego kolegi znudzonego niezmiennie takimi samymi pytaniami. Więc znowu kolejne pytanie i odpowiedź:

– *Panie, a płacą Panu za to?*

– *Płacą, ale niedużo.*

Po dłuższej chwili mój kolega usłyszał niemal zawsze taki oto komentarz wygłoszony z namysłem:

– *Panie, Pan to musi być bardzo mądry człowiek, ale..., ale... ci co Panu płacą muszą być bardzo głupi!*

(IV) Oto jeszcze jedna próba tego, jak możemy być potraktowani.

Prowadząc z moim włoskim przyjacielem przez wiele lat badania geobotaniczne na półwyspie Gargano w regionie Pulia musiałem sobie przyswoić zasady lokalnego *saperci fare*, czyli wiedzieć jak się znaleźć w kontaktach z samotnymi, przeważnie starszymi mieszkańcami odosobnionych w górach siedzib. Najważniejsze na trasie to nie unikać osobistego spotkania i rozmowy, nawet gdybyśmy nie mieli na to czasu i ochoty. Właściciel pastwisk i pól, porzuconych nawet przed wielu laty, może cię zastrzelić, gdy wszedłeś nieproszony na jego drogę lub jego posiadłość. Jeśli zaś przynajmniej pozdrowisz samotnego mieszkańca gór, to możesz liczyć nie tylko na

życzliwość, ważne informacje o dziejach i przyrodzie badanego terenu, ale i na niezwykłą gościnność.

Więc poprosił nas pewien niemłody, samotny pasterz do swojej siedziby, zaspokoił naszą i swoją ciekawość, napił winem, nakarmił chlebem, oliwkami, *prosciutto* (wędzoną szynką) i serem. Nade wszystko, z rzadką natarczywością chciał skarmić nami cały zapas owczego sera. Ulegliśmy, jako że z moim włoskim przyjacielem bardzo cenimy sobie gościnność. Należność przyjął z pewnym oporem, ale tylko za ser. Po powrocie wieczorem do miasteczka zauważyliśmy żółte plakaty obwieszczające o zakazie sprzedaży i spożycia świeżych owoców i jarzyn oraz... owczego sera. Było to w kilkanaście dni po katastrofie czarnobylskiej, a poszczególne gminy lub regiony wprowadzały samodzielnie, zwykle wczesnym rankiem, owe zakazy natychmiast po ujawnieniu skażeń.

(V) W pociągu zimą, przed świtem, na miesiąc przed stanem wojennym, rozmowa toczy się między mieszkańcami pewnej wsi. Wieś tą jako swoje miejsce na ziemi upodobała sobie wcale liczna grupa naukowców. W oryginalnym zapisie rozmowy symbole płci określają płeć rozmówców. Oto osoby dramatu:

♀ 1 – sklepowa (ok. 20 lat); ♀ 2 – urzędniczka (ok. 30 lat); ♂ – robotnik (ok. 40 lat).

Skończyli rozważania na temat kryzysu i po chwili:

♀ 1: *Wie Pani, najgorzej to z tymi zakładami naukowymi. Niech Pani sobie wyobrazi, że w największym z tych zakładów przez 10 lat (!) mierzyli: ile milimetrów rocznie przyrasta myszy głowa!*

♀ 2: *Coś podobnego!*

♂: *I za to im jeszcze płacą!*

♀ 2: *I to jeszcze ile!*

♂: *Ja to nie rozumiem, po co komu te zakłady i po co trzymać tych ludzi? co tu robią!*

♀ 1: *No właśnie!*

♂: *I żeby to tylko sami naukowcy robili, ale to jeszcze ciągną laborantów, żeby na nich robili!*

♀ 2: *I to jeszcze ile!*

♂: *Ja rozumiem, że można budować fabryki i zakłady, które coś dają państwu, wynajdują nowe maszyny, urządzenia, a Ci (!). Co my z nich mamy? Biorą tylko pieniądze i jedzenie, a jeszcze pouczają. Przyjdzie taki do sklepu i ustawia ludzi w kolejkę.*

♀ 1: *A te lasy, jak po nich wyglądają.*

♂: *Nastawiają błyszczących tabliczek, nawet wleźć tam nie można, bo jeszcze cię wezwą. Albo zrobili otulinę dookoła Parku... i nie można nic uprawiać.*

♀ 1: *I po co to komu?*

♂: *Albo, czym oni się zajmują! Badają 10 lat, męczą ludzi i potem stwierdzają, że w lesie są dwa gatunki dębu, jeden wcześniej wypuszcza liście, a drugi później.*

♀ 1, ♀ 2, ♂: *złośliwy ryk śmiechu.*

♂: *Albo liczą: ile roślin wyrośnie z tyłu a tyłu nasion.*

♀ 1: *I na co to?*

♀ 2: *Wiadomo, że trzeba płacić tym ludziom, którzy dają krajowi jakieś korzyści, ale im! Rośnie sobie jakieś drzewo, to niech rośnie, kwitnie wcześniej, to niech kwitnie.*

♀ 1: *I to trzeba tyle pieniędzy na to marnować.*

♂: *W kraju bieda pizczy, nie ma pieniędzy na jedzenie, a ci kwiatki liczą.*

♀ 1, ♀ 2, ♂: *Oburzenie i ryk śmiechu.*

♀ 1: *Szkoda nawet słów.*

♀ 1, ♀ 2, ♂: *Zmiana tematu rozmowy: brak papierosów i wódki.*

3. Zamiast epilogu. Luźne rozważania zakończone deklaracją bezradności

To były *dramatis personae*. A teraz nasz dramat, który nazwę dramatem niezrozumienia lub bezradności. Jest to bowiem w jakimś sensie dramat, ponieważ dotyczy ludzi i stron, które na co dzień obcują z przyrodą i na pewno są jej najlepszymi obserwatorami i przyjaciółmi.

Sądzę, że niejednen z badaczy przyrody mógłby przytoczyć o wiele bardziej jędrne i weselsze anegdoty, ale nie przypuszczam, aby mogły one wzbogacić „materiał i metodę” moich dociekań na tyle, by doprowadzić do odmiennych wniosków, niż te, które przytoczę. Socjologów nauki i psychologów zachęcam wszakże do podjęcia obszernych studiów na temat „jak nas odbierają”, „jak nas widzą i słyszą”, czy „tak o nas mówią i piszą”. Oto proponowane tematy naukowych rozpraw: „Badacz przyrody w oczach rolnika i leśnika” lub „Wizerunek ekologa postrzegany przez przedstawicieli gospodarstwa wiejskiego”.

Oto co zdaje się wynikać z przytoczonych anegdot i dialogów:

Rolnik, leśnik, rybak są istotnie zainteresowani tym po co „uczeni” ludzie z miasta wkraczają na ich włości, czego chcą się dowiedzieć i czemu mają służyć zebrane informacje, i wreszcie kto za to płaci. Jeśli upewnią się, że nie poddajemy w wątpliwość ich prawa własności lub zarządzania lasem czy wodami, że nie mamy wpływu na wymiar podatku lub rozstrzygnięcie sporów sąsiedzkich, to wnet życzliwość i poszukiwane informacje mamy zapewnione. A jednak w tych dwustronnych kontaktach trudno jest przekroczyć pewną barierę. Ta bariera, to po jednej stronie: nieufność, brak przekonania i zrozumienia do badań nie przynoszących doraźnych korzyści, a po drugiej: to niedocenianie partnera, jego

dociekliwości, wiedzy i doświadczenia, a zwłaszcza brak umiejętności i cierpliwości do wyłożenia swoich racji i przekonania do nich rozmówcy. Nawet jeśli mamy umiejętność prowadzenia rozmowy z osobą pozbawioną wykształcenia, to wcześniej czy później ustępujemy z pola... dyskusji i chowamy się do lasu... uprzedzeń, zasłaniając się pozornym lub rzeczywistym brakiem czasu.

Jeśli nawet rozmówca wykaże szczere zainteresowanie naszymi badaniami, to zazwyczaj nie potrafimy o ich celu i istocie zrozumiale opowiedzieć, nie uciekając się do niejasnych terminów lub oczywistych stwierdzeń. We florystyce i faunistyce jeszcze liczy się fakt materialny i nim można rozmówcę zainteresować. W ekologii niemal każde uogólnienie kończy się banałem.

Pozostaje tylko dobrze dobrany przykład, podobnie jak w całym procesie upowszechnienia wiedzy ekologicznej. Zresztą co tu ukrywać: doświadczeń i pomysłów na tym polu mamy niewiele. Od wydania tuż po wojnie dwu wspaniałych książek: D. Szymkiewicza – „*Jak żyją rośliny gdy nikt o nie nie dba?*” oraz J. Bowkiewicza – „*Życie wód słodkich*”, nie doczekaliśmy się chyba w Polsce żadnej własnej, udanej próby popularyzacji dorobku ekologii. Zresztą ta druga książka, to tylko poszerzone wydanie dzieła przedwojennego.

Rzadko kiedy przy tym pamiętamy, że nasz rozmówca jest wytrwałym i dociekliwym obserwatorem przyrody, że jego wiedza i osobiste doświadczenia przekazane mu przez przodków składają się na coś, co nazwać by można „pierwotną ekologią stosowaną”. Najbardziej wyrafinowane doświadczenie owej pierwotnej biologii i ekologii stosowanej to ziołolecznictwo i... bioindykacja środowiska. Przecież pierwotną bioindykację środowiska, rozwijaną przez wieki, udało się tylko nieznacznie za sprawą nauki udoskonalić i zobiektywizować. Wreszcie nie zawsze przychodzi nam do głowy, że ten i ów rolnik, to już człowiek wykształcony, ale który na początku rozmowy często fakt ten ukrywa z powodu pewnej nieufności lub przekory wobec obcych.

Przytaczając to spostrzeżenie, nie zachęcam do powrotu do „pierwotnej ekologii stosowanej” w miejsce nowoczesnych badań. Wyrażam tylko żal, że tak trudno jest pokonać wspomnianą barierę w przełożeniu wiedzy i celów ekologii na język zrozumiały dla naszego rozmówcy.

Ten przejaw bezradności występuje nie tylko w kontaktach z napotkanymi rolnikami, leśnikami, rybakami. W połączeniu z pewną obawą zjawia się także prawdopodobnie w codziennych kontaktach z naszymi współpracownikami technicznymi. Rozważa się nawet jako podstawę tych kontaktów taki oto dylemat: czy ujawnić cel i spodziewane wyniki naszych badań, do których codzienne obserwacje wykonują nasi współpracownicy? Czy nie grozi to uzyskaniem „oczekiwanej odpowiedzi”, skoro wiadomo „co powinno wyjść”?

Stawiając tak sprawę zapominamy, że nasi współpracownicy, chociaż teoretycznie nie przygotowani do podejmowania samodzielnych badań, bywają obserwatorami lepszymi od nas, i że także na co dzień obserwują i krytycznie oceniają nas i nasze dążenia. Wobec tego faktu jesteśmy bezradni, tak jak wobec naszej nieumiejętności przekraczania wspomnianej bariery.

Wiadomo, że w epilogu też musi się coś zdarzyć, więc przytaczam dosłownie jeszcze dwie opinie o nas:

(VI) W jednym z biur uniwersyteckich we wczesnym okresie stanu wojennego, w porze stopniowego przechodzenia pierwszego śniadania w drugie śniadanie, zasłyszałem takie oto stwierdzenie:

„Nareszcie można spokojnie pracować! Studentów odesłano do domu, adiunktów pozamykano, a profesorowie siedzą cicho”.

(VII) W okresie gierkowskim podczas niespodziewanej wizyty w mojej pracowni, pewien dygnitarz zauważył:

„Mądry z Pana człowiek, a gromadzi Pan tyle książek i jeszcze traci czas na ich czytanie”.

Nieco humoru i autoironii powinno nam ułatwić znoszenie na co dzień i tych dolegliwości, skoro ani sposobem naukowym, ani nienaukowym, nie potrafimy przekonać innych do tego co robimy.

Janusz Bogdan Faliński (Białowieża)